PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 16 *Warszawa, 18 kwietnia 1914.* Widok 3.

Samorząd Aleksiejewa.

1.

Ponieważ, mimo napozór zmienionych warunków, najpoważniejsze sprawy polityczne traktowane są w dalszym ciągu w piwnicznych mrokach z wyłączeniem wszelkiej jawności — przeto zdarza się nieraz, że dopiero z gazet zagranicznych dowiedzieć się można o nastrojach i zamierzeniach sfer miarodajnych.

Zdarzyło się i teraz, że nikły deseń owych usposobień i nastrojów, trzymanych w ścisłej tajemnicy przed opinją i prasą miejscową, zarysował się na rozległych szpaltach *Temps'a* d. 11 kwietnia w związku z ponownym uchwaleniem w Dumie projektu samorządu miejskiego w Królestwie włącznie z wiadomą poprawką Aleksiejewa.

Obecnie więc z dziedziny domysłów i przypuszczeń wkraczamy na teren stwierdzonych faktów. Wolno się było domyślać od pewnego czasu, że w sferach miarodajnych, w związku z kwestjami polityki zewnętrznej, dojrzewa przekonanie o naglącej potrzebie zaspokojenia pewnych «minimalnych» żądań «ludności nadgranicznej» na kresach zachodnich.

Nie możemy jeszcze przesądzać, czy i w jakiej mierze wpłynęła na to przekonanie, we własnym zresztą interesie, dyplomacja francuska, pewnem jest wszelako, że w Paryżu od pewnego czasu poczęto śledzić bacznie losy projektu samorządu, nadając mu wygórowane bardzo znaczenie.

W marcu r. b. zamieścił *Temps* wywiad z pewnym nieokreślonym bliżej dygnitarzem nadnewskim, który takie wygłosił zdanie:

«Pierwszym staraniem rządu rosyjskiego, obok reformy systemu finansowego, powinno być przeprowadzenie reform społecznych, któreby uspokoiły ludność, domagającą się bez ustanku i coraz głośniej tego, co w r. 1905 przyrzeczono. Rząd powinien, nie zwlekając dłużej, położyć kres reakcyjnemu i nieszczęsnemu dziełu Rady Państwa i oktrojować nadgranicznej ludności to, czego żąda, a czego jej się bezlitośnie odmawia wbrew tak bardzo krytykowanej Dumie...»

Nadchodzi więc moment taki, że koła rządzące zarówno nad Newą i Sekwaną zapragnęły wiedzieć, czego mianowicie żąda ta nadgraniczna ludność.

Rzecz prosta bowiem, że żadna, najbardziej nawet humanitarna władza na świecie, nie uzna za swój obowiązek ustąpić ze swych prerogatyw więcej, niżeli się od niej żąda.

2.

I otóż to Fatum złowrogie, które zawisło nad Kołem Polskim w Petersburgu od pierwszej chwili, gdy posłowie nasi zasiedli na ławach państwowych — kładzie im w usta, zamiast istotnych naszych postulatów, formułę, jak na urągowisko, wyjętą z ust... Aleksiejewa!

Intencje warszawskiego posła «od mniejszości» w owej chwili, gdy wnosił swą sławetną poprawkę, były aż nadto wyraźne. Każąc przewodniczącym rad miejskich w Królestwie prowadzić obrady w języku rosyjskim, podczas gdy przemówienia polskie mają być tylko *tolerowane* jakby z łaski, zamierzał zmyślny

p. Aleksiejew zeszpecić, zohydzić, obmierzić nam reformę, uczynić ją czymś, trudnym do przyjęcia, słowem dokuczyć Polakom na wszelki możliwy sposób i przez to zasłużyć na poklask prawego skrzydła nacjonalistów.

Tymczasem spotkała go niespodzianka. Wprawdzie opinia polska cofnęła się z obrzydzeniem od «poprawki» logicznie wykończonej w Radzie Państwa staraniem pp. Stiszynskija i Hurki, lecz Koło Polskie uchwyciło się jej oburącz, jak deski zbawienia, i w toku dalszych rozpraw traktowano już pomysł Aleksiejewa— jako granicę tych «żądań» ludności «nadgranicznej» które, w myśl wyższej racji stanu, trzeba koniecznie zaspokoić...

3.

P. Aleksiejew został wprawdzie takim obrotem sprawy niemile zaskoczony i pośpieszył wyrzec się swego dziecięcia skoro ujrzał, że Koło Polskie adoptowało go tak skwapliwie i darzy czułą pieszczotą. Ale zarazem te sfery miarodajne, którym potrzebny był zapewne probierz minimalnych naszych żądań celem odpowiedniego nastawienia skali ustępstw, co wynika z wynurzeń *Temps'a*, zostały tą postawą Koła w błąd wprowadzone i w przyszłości może niedalekiej, nie widząc spodziewanych skutków, gotowe będą wytykać nam — niewdzięczność.

Pragniemy więc być zawczasu dobrze zrozumiani i dlatego stawiamy tu śmiało kropki nad i.

Skoro już wiadomo wszemu światu, że generał-gubernator warszawski pospołu z ambasadorem francuskim nalegali w styczniu r. b. na konieczność poczynienia Polakom pewnych minimalnych ustępstw i kiedy wyraźne w tej mierze wskazania otrzymał premier Goremykin z poleceniem obrony rzeczonych ulg wobec prawicy Rady Państwa — uznajemy za swój obowiązek, zgodnie z panującym w kraju poglądem, stwierdzić, że samorząd z poprawką Aleksiejewa nietylko nie wprowadzi w stosunki polsko-rosyjskie znośnego *modus vivendi*, ale, przeciwnie, wniesie on w życie publiczne, zgodnie ze złośliwą intencją swego twórcy, mnóstwo niepotrzebnych zadraźnień i zatargów, hałaśliwych utarczek, harców i zajść, bowiem formalna strona posiedzeń stawiać nam będzie wciąż przed oczy niezaprzeczony fakt, że to, co miało być w rozumieniu pierwotnym zjadliwą z nas drwiną, zostało w końcu uznane, z winy Koła Polskiego, za wyraz naszych pragnień.

Nie przesądzając dalszego biegu spraw, nie chcąc przypisywać chwili obecnej większego znaczenia niż to, jakie istotnie posiada, zaś nadewszystko strzegąc się zbytecznych złudzeń, musimy raz jeszcze powtórzyć z otwartością zupełną, że projekt samorządu w obecnej postaci nie jest ani pożądany dla nas, ani dla państwa zbawienny.

4.

I tutaj, mimo niechęci naszej do polemik stronniczych w obecnej chwili, wypada właśnie wytknąć karygodne względy i rachuby poboczne, które w niemałym stopniu wpłynęły na postawę Koła, skłaniając je do przyswojenia szpetnej poprawki Aleksiejewa.

Bo rzeczywiście, niepodobna sobie inaczej wytłómaczyć tak bezprzykładnego kompromisu, jak tylko chęcią okazania wyborcom, którzy mają aż nadto słusznych powodów do niezadowolenia, jakichś namacalnych wyników swej pracy.

Członkowie Koła nie chcą wrócić do kraju z próżnemi rękami, i dlatego chwytają bez wyboru, a z podziękowaniem, wszystko, co w te ręce wpada za sprawą choćby Aleksiejewa i jego akolytów.

Nie dość na tem: patronujące Kołu stronnictwo, czując, że traci grunt pod nogami, pragnie jak najrychlej i za wszelką cenę pozyskać nowy wdzięczny dla siebie teren w przyszłych ciałach samorządu miejskiego. I dlatego przynagla posłów, godząc się na wszystko, z niebywałą skłonnością do ustępstw, która p. Aleksiejewa wprawia w osłupienie, a p. Delcassé'go najwidoczniej wprowadziła w błąd.

Taka niechlubna postawa naszych przedstawicieli w Petersburgu w końcowym wyniku sprawia, że w tak odpowiedzialnej chwili, jak obecna, kiedy należało zdobyć się na męską i śmiałą formułę naszych minimalnych żądań — gotowi są niefortunni nasi politycy ściągnąć na kraj tytułem dobrodziejstwa to właśnie, co p. Aleksiejew szykował jako zjadliwe szyderstwo.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. A Skarb Narodowy? II. Czarne myśli na Jasnym Brzegu.

I. Wybaczy nam *Gazeta Warszawska*, że przerywając raz jeszcze dalszy ciąg bajki o «masonach», której to opowieści słucha z rozdziawionymi usty i zapartym oddechem szczupły zastęp poczciwców z księdzem plebanem na czele — spytamy znów niegrzecznie:

— A Skarb Narodowy? Ile *rzeczywiście* pobrano ze Skarbu w r. 1905 i 1906-ym? a raczej — ile *naprawdę* obowiązani są *zwrócić* «narodowi» nasi «demokraci», albowiem pieścimy się jeszcze nadzieją, że restytucja nastąpić musi.

W styczniu r. b., wobec uczynionej przez nas aluzji do tej niepięknej sprawy, w *Gazecie Warszawskiej* wyjaśniono, że gra świeczki nie była warta, bowiem:

«W jednym momencie, mianowicie w r. 1905, w okresie walki z socjalistyczno-żydowską anarchją w naszym kraju, otrzymano z kapitału na mocy uchwały komisji nadzorczej zasiłek nadzwyczajny w sumie 20.000 franków.»

Opinia polska zanotowała sobie w pamięci tę cyfrę... Tymczasem w Nr. 12 *Zgody* (pismo to jest organem urzędowym Związku Narodowego Polskiego w Ameryce)—podano ścisłe zestawienie sum, pobranych przez Ligę Narodową (z której wyłoniła się późniejsza endecja) w okresie od 1895 do 1908 roku. Ogólna suma zasiłków wynosi 132.847 fr. 12 cent., przyczem w r. 1905 i 1906 widnieją *dwie* pozycje nadzwyczajne 37.334 i 35.087 franków, co czyni razem przeszło 72 tys. franków zamiast owych 20 tys., do których przyznano się w *Gazecie Warszawskiej*.

Czekamy zatym na bliższe wyjaśnienia, z których wyłoni się wreszcie istotna wysokość sumy, jaką skarbnik stronnictwa dem.-narodowego niewątpliwie Skarbowi Narodowemu zwróci z chwilą, gdy stronnictwo, pobiwszy rekord «konserwatyzmu», skieruje ku sobie złoty paktol, płynący z kieszeni magnackich w stronę... polityki realnej.

II. — Pytasz pani, dlaczego dzisiejszy Polak pośród obcych taki cichy, milczący siedzi i tylko oczyma wodzi po tej kapiącej od złota ciżbie? po tym przepychu, co wylewa się oknami i drzwiami waszych domostw? po tych miastach lśniących dobrobytem?

Bo my tego wszystkiego nie mamy, szanowna pani! Nie, żeby brak nam było przyrodzonych warunków, przeciwnie: ludzie obcy szybko dorabiają się fortun w naszym kraju i to na wszystkich polach przemysłu i handlu: na kolejach, tramwajach, elektryczności; na gazie, piwie, cukrze; na mięsie, nafcie, obuwiu; na jedwabiach, kapeluszach, tasiemkach; na zapałkach, krawatach, pończochach; ba! nawet na książkach, kwiatach, nawet na mydle, na perfumach, na cykorji—porobiły u nas majątki firmy całkowicie lub napół obce...

My zaś, rdzenni Polacy, żyjemy przeważnie z okruchów, padających ze stołów biesiadnych, obficie zastawionych dla ucztującyeych zagranicznych gości lub — krajowych cudzoziemców. Jesteśmy dumni i radzi, gdy za ułatwienie zbytu produktów obcych potężne firmy zagraniczne płacą nam skąpe komisowe. Zamiast u siebie, pod protekcją celną, zakładać nowe gmachy przemysłu — wolimy zgarniać do kieszeni drobny odsetek miljardowych zagranicznych zysków; do tego bowiem nie potrzeba wielkiej inicjatywy twórczej, ani nadmiernej pracy, ani natężenia umysłu. Zamiast własną zabiegliwością dźwigać dobrobyt kraju — wolimy kierować rwący potok złota w obce kieszenie, biorąc za tę przysługę drobny procencik...

Inteligencja nasza pracą mózgów przysparza dorobku władcom obcego przemysłu, to samo czyni nasz robotnik i często nasz chłop pracą rąk swoich. Lud nasz dorabia się na Saksach pracą najniższego rzędu, której nie raczy tknąć cudzoziemiec; poniewiera się i tuła po obczyźnie, aby na sto marek «nadwartości», wpędzonej do kieszeni cudzej—przywieźć do kraju mozolnie i krwawo uciułane 2 grosze. Jakże tu dziwić się, że nasz majątek, nasz dobrobyt i wogóle nasz poziom gospodarczy nietylko za wami nadążyć nie może, ale nawet próbować nie śmie współzawodnictwa. Nasza polityka finansowa leży jeszcze w kolebce, podczas gdy polityka parlamentarna bełkoce pierwsze słowa, a polityka dworska stała się skandaliczną wskutek uwiądu starczego... I nie wie Polak spółczesny, jak strasznie zawinił wobec ojczyzny swojem niedbałem i płytkiem traktowaniem kwestji gospodarczych; nie pojmuje, jak dotkliwie osłabił siłę swych dążeń narodowych, jak fatalnie stępił narzędzie swojej kultury—pozwalając na to, by obcy najazd przemysłowy zagarnął pod swe panowanie całe dzielnice kraju, jak Zagłębie Dąbrowskie i Krakowskie, jak tereny naftowe w Borysławiu, jak łódzki okręg przemysłowy, gdzie ludność polska zeszła do rzędu parjasów; obracając się w swoim kraju w tej atmosferze upośledzenia i przywykłszy do niej od lat najmłodszych — przeciętny Polak nie dostrzega może potworności tych stosunków, a własne ubóstwo nie jest mu widne pośród ogólnej biedoty; owe groszowe zyski, co mu kapią z obcego malstromu bogactw, jego pracą przysparzanych — są jeszcze w jego oczach stanem pomyślnym; dopiero tu, za granicą, a zwłaszcza w modnych miejscach kąpielowych, gdzie każdy naród wystawia na pokaz butę swego dorobku — dopiero tu spostrzega mój lekkomyślny ziomek rażącą wprost dysproporcję swego chudego mieszka z temi

potwornemi Molochami Złota; poczyna się potrochu domyślać przyczyn owej dysproporcji i tak medytując — markotnieje...

— I to mu dobrze zrobi! Owszem, niech sobie pomedytuje smętnie nad własnem upośledzeniem, niech porównywa i zestawia, niech ocenia i wylicza, niechaj nawet zielenieje z zazdrości, patrząc oczyma wilka na to wszystko, co tu zgromadzono wiekami skrzętnej, zabiegliwej, rozumnej pracy! Niech nałyka się tu refleksji niewesołych a nawet upokorzeń piekących—a może wróci do kraju ze swej płochej wędrówki «do wód» z jakimś męskim postanowieniem twórczej i owocnej pracy na polu swojskiego handlu i przemysłu!

J. KURNATOWSKI.

Konsolidacja ojczyzny.

P. Czesław Jankowski — w swej pracy znanej czytelnikom *Prawdy* — pragnie za wszelką cenę dojść do utworzenia jednolitej etnograficznie Polski. Cel ten bezwarunkowo zasługuje na uznanie. Wiadomo, że naszą organiczną wadą jest brak polskiego mieszczaństwa przemysłowo-handlowego. Żadne sofizmaty braku tego ukryć nie zdołają. Miasta są ośrodkami współczesnej gospodarki i naród pozbawiony miast oddaje się pod ekonomiczną władzę cudzoziemców. Na zdolności przemysłowo-handlowe składa się cały szereg czynników, a więc w pierwszym rzędzie: rzutkość kapitalistów, dobra organizacja kapitałów pozwalająca łączyć się drobnym oszczędnościom w celu tworzenia większych przedsiębiorstw, następnie specjalne kwalifikacje zarówno samodzielnych drobnych kupców i rzemieślników, jak i całego personelu wielkich przedsiębiorstw, a więc dyrektorów i inżynierów, monterów i majstrów, wreszcie — zwykłych robotników. Wyrobienie w sobie wszystkich tych zdolności stanowi wybitny czynnik potęgi współczesnego narodu, gdyż walki narodowościowe schodzą coraz bardziej na grunt współzawodnictwa ekonomicznego. Jednocześnie naród, posiadający te zdolności *par excellence* miejskie, zdobędzie bardzo szybko i miasta, tym bardziej swoje miasta. Kultura kapitału — w znaczeniu rozbudzenia rzutkości, umiejętności zrzeszania się i umiejętności oszczędzania, oraz kultura pracy — w znaczeniu nabycia kwalifikacji zawodowych — stanowią niezbędne czynniki rozwojowe, których bez krzywdy dla swojej narodowości ani bagatelizować, ani obniżać nie należy.

Fale demokracji dojdą prędzej, czy później do ziem polskich i dadzą im wolność polityczną, w tej lub innej postaci, lecz z wolności tej skorzystają w pierwszym rzędzie, posiadacze kapitałów i organizatorzy produkcji.

Niejednokrotnie też przeciwstawia się zdolności „burżuazyjne" zdolnościom „proletarjackim". Mają to być rzeczy krańcowo różne. Ktokolwiek jednak rozumie, na czem polega socjalizm, kto obserwował rzutkość i umiejętność socjalistycznych prezydentów miast lokujących kapitały miejskie w przedsiębiorstwach miejskich, kto podziwiał spryt handlowy praktyków kooperatystów lub zdolności biurowo-administracyjne sekretarzy związków zawodowych — ten jest zniewolony uznać podobne przeciwstawienie za złośliwy żart jakiegoś nieuka-demagoga. Zdolności „proletarjackie" nie są żadną antytezą, lecz wyższym stopniem rozwoju zdolności „burżuazyjnych" i naród, który nie wyrobił sobie jednych, nigdy nie wyrobi sobie drugich, dlatego, że — mimo wszystko — przykład idzie z góry, a następnie dlatego, że w praktycznej realizacji socjalizmu t. zw. żywioły burżuazyjne biorą równie wielki udział, jak żywioły ściśle proletarjackie.

Tak więc — wytworzenie zdolności miejskich, zdobycie miast i co za tem idzie nadanie krajowi jednolitej fizjognomji etnograficznej jest bezwarunkowo wskazaniem historycznym danego momentu dziejowego. Ryzykujemy naszą przyszłość, jeżeli go nie zrozumiemy i nie poddamy mu się.

Jednak zachodzi pytanie, czy środki, które proponuje p. C. J. istotnie prowadzą do celu. P. C. J. pragnie, jak wiadomo, aby polscy wielcy właściciele ziemscy na Litwie i Rusi posprzedawali swoje majątki i ulokowali kapitały w domach w Warszawie i wogóle w Królestwie. Specjalnie — co się tyczy domów w Warszawie — to p. Moszczeńska zupełnie słusznie odpowiedziała p. C. Jankowskiemu, iż podobny masowy popyt na domy warszawskie wyśrubowałby ich ceny i tak wysokie, a następnie wyśrubowałby komorne. Jeżeli chodzi o kwestję mieszkaniową w Warszawie (a jest to kwestja istotnie ogromnej wagi hygieniczno ekonomicznej; przypominam, że szkarlatyna nie wygasa w Warszawie, że mieszkania są dwa razy droższe, niż w Paryżu i że Warszawa ma na kilometr kwadratowy 25,000 mieszkańców, kiedy Petersburg ma 5.900, Paryż 8.700, a Berlin 9.800), to należałoby ją rozstrzygnąć w całkiem inny sposób; a mianowicie przez ściągnięcie polskich kapitałów z hypotek domów cudzoziemskich, lub zebranie nowych, zakupienie jakiego Rakowca lub innej wielkiej podmiejskiej przestrzeni, włączenie jej do miasta, połączenie z śródmieściem tramwajem i prawidłowe zabudowanie. Wówczas zarówno wzrosłaby ilość polskich właści-

cieli domów, jak i zyskałby ogół mieszkańców. Banalny aforyzm: bije się przeciwnika jego własną bronią — jest nieścisły. Przeciwnika bije się choć trochę lepszą bronią, niż jego własna.

Jednak bardzo wątpię, czy wśród naszych landlordów litewsko- ruskich znalazłaby się odpowiednia liczba ludzi z dostateczną „kulturą kapitału," aby przeprowadzić podobne przedsiębiorstwo. Nawet polskie kapitały z Królestwa, zbałamucone wysokimi procentami hypotecznymi, niechętnie by doń przystąpiły. Należałoby ściągnąć kapitały francuskie, przyzwyczajone do niskiej stopy procentowej. I dopiero pod grozą ich konkurencji i wobec rozpoczynającego się „wyludniania śródmieścia"—polskie kapitały weszłyby w grę.

Lecz—pomijam domy. P. C. Jankowski cytuje je tylko jako przykład. Idzie mu wogóle o to, abyśmy się pozbywali własności na kresach i nabywali je w kraju. Weźmy zatem majątki ziemskie. Nie wyobrażam sobie, jak wielki rolnik litewsko-ruski, przyzwyczajony do olbrzymich obszarów, do posłuszeństwa ze strony robotników, dawałby sobie radę na małych stosunkowo gospodarstwach Królestwa, znajdujących się w zupełnie innych warunkach. Zdaje mi się, że ani sobie, ani krajowi tego rodzaju człowiek nie wyświadczyłby żadnej przysługi. Zakładanie przesiębiorstw przemysłowych lub handlowych—oczywiście—pomijam zupełnie. Prowadzę do tego, że wartość osobistej pracy żywiołów polskich przesiedlonych z Litwy i Rusi do Królestwa sprowadziłaby się niewątpliwie do zera. Kapitały tego rodzaju ludzi, abstrahując od osób ich właścicieli, oczywiście przydałyby się, lecz jedynie, jako czynnik pomocniczy—w akcji już zapoczątkowanej z pomocą kapitałów polskich z Królestwa. U nas nie wytworzył się dotąd typ *lançeur d'affaires*, typ założyciela przedsiębiorstw, który od jednych bierze pieniądze i daje im procent, a od drugich bierze pracę i daje im pensję. Niema u nas banków przedsiębiorczych, jakich Niemcy liczą na setki. Oszczędności już są, większe, niż się zdaje; lecz—wskutek braku gründer'ów— oszczędności te nie wiedzą, co z sobą począć. Typu założyciela oczywiście nie stworzy żaden poczciwy białorusin, któryby zjechał na bruk warszawski, choćby z pełną kabzą. Wytworzyć go może najprędzej polak do gruntu zeuropeizowany lub zamerykanizowany. Typ tego rodzaju potrafi oczywiście równie dobrze operować pieniędzmi Polaków z Królestwa, jak i z kresów. Jest jednak bardzo wątpliwe, czy Polacy kresowi, mając u siebie inne lokaty zapewne zyskowniejsze, gdyż kraj jest mniej wyeksploatowany, zechcą mu je powierzać.

Słowem—unarodowienie naszych miast, t. j. naszego handlu i przemysłu jest koniecznością, lecz Polacy z Królestwa powinni liczyć w tej sprawie głównie na samych siebie, na rozwój własnego wykształcenia zawodowego, zmysłu oszczędności, zmysłu przedsiębiorczości, zmysłu wzajemnego popierania się, zmysłu organizacji. Co zaś do polaków kresowych, to — zdaje mi się — że ich masowe przeniesienie z własnych mniej skomplikowanych warunków gospodarczych do Królestwa — wykoleiłoby ich tylko, ku ogólnej krzywdzie.

Obok jednolitej etnograficznie Polski, którą istotnie należy utworzyć za wszelką cenę, lecz za pomocą środków wiodących do celu — mogą istnieć nadal obszary o ludności mieszanej, którym ostateczny charakter narodowy nada ludność najpracowitsza i najinteligentniejsza.

ST. AUERBACH.

Rozwój narodów w świetle nagród Nobla.

Posiadam pod ręką szczegółową statystykę, stanowiącą bilans trzynastoletniej działalności ufundowanej przez Nobla instytucji. Dokument ten dostarcza szeregu kryterjów, które mogą służyć za podstawę do obliczenia postępu naukowego i moralnego poszczególnych państw i poszczególnych narodowości.

Alfred Nobel, chemik i przemysłowiec szwedzki, urodził się w Sztokholmie dnia 21 października 1833 roku, umarł w San-Remo 10 grudnia 1896 roku, żył lat 63.

Najznakomitsze zasługi swe położył Nobel głownie na polu fabrykacji narzędzi wojny i śmierci: wynalazł dynamit, wynalazł proch bezdymny, ułatwił wyrób bomb i szrapneli, udoskonalił mechanizm śmiercionośnych mitraljez, ulepszył konstrukcję broni palnej, uczynił możliwem wysadzenie w powietrze eskadry całej, całego miasta fortecznego...

Te doniosłe w dziejach techniki wojennej odkrycia pozwoliły mu nagromadzić fortunę, przewyższającą 50 miljonów franków.

Jakiż użytek robi z tych pieniędzy wynalazca dynamitu? Przeznacza je do ostatniego grosza na fundację nagród dla apostołów nauki, piękna, sztuki, literatury i... *pokoju*.

Straszna ironja losu zieje z tego faktu.

Całe swe życie poświęca Nobel udoskonaleniu narzędzi mordu, a po śmierci fortunę

w ten sposób nagromadzoną składa na ołtarzu krzewienia haseł pokoju...

Całkowitą swą fortunę zapisał Nobel w swym testamencie na ufundowanie pięciu wielkich nagród rocznych, wynoszących każda 300,000 franków. „Pierwsza, druga i trzecia nagrody przyznawane są trzem osobom jakiejkolwiekbądź narodowości, które w dziedzinie fizyki, chemji, medycyny lub fizjologji dokonali najznakomitszego odkrycia lub ulepszenia“. Czwartą nagrodę „otrzymuje osoba, która w dziedzinie literatury wydała dzieło tak wysokie swym polotem, że zbliża się do ideału“. Nagroda piąta „przeznaczona jest dla osoby lub instytucji, która najwięcej lub najbardziej przyczyniła się do braterstwa ludów, do zniesienia lub zmniejszenia stałych uzbrojeń, do propagowania haseł pokoju i do rozszerzenia wpływów kongresów pokoju“. „Pierwsze cztery nagrody przyznaje Szwedzka Akademja Nauk, piątą Sejm norweski“.

* * *

W ciągu trzynastu lat istnienia Fundacji Nobla wydała ona ogółem *sześćdziesiąt osiem nagród*. Sześćdziesiąt sześć otrzymali uczeni, literaci i apostołowie pokoju 17 rozlicznych narodowości; jedną nagrodę otrzymał instytut pokoju w Bernie, jedną również nagrodę międzynarodowy instytut prawa.

Najwięcej nagród otrzymali *Niemcy*. Cztery nagrody literackie: Mommsen, Enken, Heyse, Hauptmann; cztery nagrody chemji: Fischer, Baeyer, Ostwald, Wallach; pięć nagród medycyny: Behring, Koch, Büchner, Ehrlich, Kossel; cztery nagr. fizyki: Roentgen, Lenard, Braun, Wien. *Nagrody pokoju nie otrzymał ani jeden Niemiec.*

Drugie miejsce pod względem ilości zdobytych nagród zajmuje *Francja*. Trzy nagrody pokoju: Fryderyk Passy, Renault, d'Estournelles de Constant; dwie nagrody literackie: Sully Prudhomme, Mistral; siedem nagród chemji: Piotr Curie i Curie Skłodowska, Becquerell, Moissan, Larezan, Sabatier, Grignard; dwie nagrody medycyny: Carrel, Richet.

Trzecie miejsce zajmuje *Anglja*. Jedna nagroda pokoju: Randal Cremer; jedna nagroda literatury: Rudyard Kipling; dwie nagr. chemji: Ramsay, Rutheford: jedna nagr. medycyny Romuald Ross; dwie nagr. fizyki: Raleigh, Thomson.

Na czwartem miejscu znajduje się *Holandja*. Jedna nagroda pokoju: Asser; jedna nagr. chemji: Van't Hoff; cztery nagr. fizyki: Loiden, Zeeman, Van der Waals, Oannès.

Na piątem miejscu znajdują się: A) *Szwecja*. Jedna nagroda pokoju: Arnoldson; jedna nagr. literatury: panna Lagerloff; jedna nagr. medycyny: Gulstrand; dwie nagr. fizyki: Arrhenius, Daleu. B) *Szwajcarja*. Trzy nagrody pokoju: Dunau, Ducommun, Gobart; jedna nagr. chemji: Werner; jedna nagr. medycyny: Kocher.

Szóste miejsce zajmują *Włochy*. Jedna nagr. pokoju: Maneta; jedna nagr. literatury: Carducci; jedna nagr. medycyny: Golgi; jedna nagr. fizyki: Marconi.

Na siódmem miejscu znajdują się: A) *Belgja*. Dwie nagrody pokoju: Beernaert, Lafontaine; jedna nagr. literatury: Maeterlinck. B) *Ameryka*. Dwie nagr. pokoju: Roosevelt, Root; jedna nagr. fizyki: Micbelon.

Ósme miejsce zajmują kraje następujące:

A) *Polska*. Jedna nagroda literatury: Sienkiewicz; jedna nagroda chemji: Marja Curie-Skłodowska.

B) *Austrja*. Dwie nagr. pokoju: Berta Suttner, Fried.

C) *Hiszpanja*. Jedna nagr. literacka: Echegaray; jedna nagr. medycyny: Cajal.

D) *Danja*. Jedna nagroda pokoju: Bajer; jedna nagr. medycyny: Finsen.

E) *Rosja*. Dwie nagrody medycyny: Miecznikow, Pawłow.

Na dziewiątem miejscu znajdują się kraje:

A) *Luksemburg*. Nagroda fizyki: Lippman.

B) *Norwegja*. Nagroda literatury: Bjornstjerne-Bjoernson.

C) *Indje*. Nagroda literatury: Rabindranath Tagore.

Powyższe dane mogą służyć za kryterjum cywilizacyjnego rozwoju danej narodowości. Zauważmy, że np. Niemcy nie otrzymali ani jednej nagrody pokoju, natomiast zdobyli aż 13 nagród fizyki, medycyny i chemji. Dowodzi to, iż postęp Niemców nie idzie w kierunku idealnym, w kierunku bezinteresowych zdobyczy ducha, jeno w kierunku materjalnym, technicznym. Kultura niemiecka jest kulturą par excellence techniczną, *materjalną*, mającą bardzo mało wspólnego z postępem moralnym, *cywilizacyjnym*. Pomijając jednakże i ten szkopuł, zaznaczyć należy, że mniej lub więcej prawdziwe kryterjum cywilizacyjnego rozwoju otrzymamy przez odnalezienie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy ilością zdobytych nagród, a liczba mieszkańców danej narodowości. Przyjmując za podstawę naszego obliczenia powyższą metodę, otrzymamy *najbardziej zbliżone do prawdy* kryterjum postępu kulturalnego poszczególnych państw Europy. Owóż według ułożonej przez nas klasyfikacji pierwszeństwo cywilizacyjne należy się krajom, w których *jedna nagroda Nobla przypada na najmniejszą liczbę mieszkańców*

Proporcja ta wykazuje, że jedna nagroda Nobla wypada dla:

1.	Luksemburgu na	259,891	mieszkańc.
2.	Szwajcarji	753,020	"
3.	Holandji	1,002,742	"
4.	Szwecji	1,112,360	"
5.	Danji	1,287,538	"
6.	Norwegji	2,391,782	"
7.	Belgji	2,496,804	"
8.	Francji	2,828,685	"
9.	Niemiec	3,819,176	"
10.	Anglji	6,480,326	"
11.	Włoch	7,989,769	"
12.	Hiszpanji	9,805,662	"
13.	Polski	10,500,000	"
14.	Austrji	25,695,111	"
15.	Ameryki	31,369,562	"
16.	Rosji	62,035,900	"
17.	Indji	316,884,000	"

Z powyższej tablicy łatwo już wysnuć konkretne wnioski. Dowodzi ona, że wśród krajów najbardziej zaszczytnie „uwieńczonych“ nagrodami Nobla, pierwszeństwo należy się maleńkiemu, które licząc wszystkiego 260 tysięcy mieszkańców, zdołało zdobyć nagrodę nobelowskiej fundacji. Za Luksemburgiem idą w kolejnym porządku: Szwajcarja, Holandja, Szwecja, Danja i Norwegja. Fakt, iż kraje te, znane ze swego cywilizacyjnego rozwoju, znalazły się na czele i w naszej klasyfikacji — fakt ten potwierdza słuszność zastosowanej przez nas metody, która zresztą jest metodą socjologiczną bardzo skutecznie przez Durkheima wyzyskiwaną dla poznania całego szeregu czynników, rządzących prawami społecznemi.

O państwach takich, jak Francja, Anglja, Niemcy i Włochy wiemy, że postęp kulturalny idzie w nich w parze z pewnego rodzaju *regresją moralną* (np. szalony wzrost alkoholizmu, przestępczości i chorób wenerycznych) to też tablica nasza wykazuje, że państwa te nie mogą pretendować do pierwszeństwa cywilizacyjnego w znaczeniu *postępu moralnego*, jeno że zadowolić się winny zajmowaniem pozycji *środkowych* w pochodzie kulturalnym ludzkości.

Zastosowana przez nas metoda Durkheimowska sprawdza się również co do Rosji. Na drabinie cywilizacyjnej zajmuje ona zaledwie przedostatni szczebel, wyprzedzając Indje azjatyckie.

A jak w świetle nagród Nobla wypadł postęp kulturalny naszego kraju? Powiedzmy odrazu: względnie *pomyślnie*. Biorąc pod uwagę, że Polska jest skrępowana pod względem oświatowym i politycznym w dwóch najważniejszych połaciach swej ziemi, w Królestwie i Poznańskiem, pamiętając, że wszelki głos, bądź na forum nauki, bądź sztuki lub literatury zdobywać musimy nadzwyczajnymi wysiłkami, a często i bezgranicznem poświęceniem, — należy stwierdzić, że zdobycie dwóch pierwszorzędnych nagród Nobla jest dla nas wynikiem całkiem pozytywnym i zadawalającym.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

Antoni Potocki.

Z CYKLU: «KRYTYCY I RECENZENCI».

I.

Wczoraj.

Krytyk literacki zachować musi, wobec twórczości minionej, stojącej w perspektywie czasu przeszłego, stanowisko osobistej odwagi w obraniu metody, na której tle uzasadnić pragnie swoje subjektywne poglądy i przekonania. Metoda nie jest w tym wypadku szablonem, suchem niewolnictwem podziału, lecz odnalezieniem myślowej postawy, która w rzeczywistości zdolna byłaby do zgodzenia nawet sprzecznych i wrogich zjawisk literackich w jednej i tej samej duszy badacza. Inaczej niemożliwem byłoby zastanawianie się człowieka nad rozmaitością kłamstwa i prawdy, piękna i brzydoty. Należy poprostu wiedzieć czego się chce, by módz praktycznie przeprowadzić tę wiedzę.

Doświadczenie dało nam dwojaki obraz przeżyć krytycznych. Otrzymujemy albo luźne monografje, albo mniej więcej udane syntezy całokształtu zjawisk literackich danego okresu, połączone sznurem odpowiednio zastosowanych teorji, wkrojonych dedukcyjnie w treść pracy, pod godłem „ewolucji“, łączącej przeszłość z teraźniejszością. Założeniem ewolucyjności pracy krytycznej jest w danym razie wzajemne wypływanie faktów, w istocie zaś odnalezienie przyczyn i skutków na chybił trafił, ze stanowiska dualizmu w rodzaju: człowiek i życie i t. d., który nie posiada żadnych cech wspólnych z rzeczywistym postulatem ewolucyjności. Założenie to bowiem nie może istnieć w sferze teoretycznej, której wystarcza metoda, musi zjawić się, jako element przeżyć duszy samego pisarza w formie konieczności wewnętrznej. Wówczas dzieło samo przez się będzie żywym wyrazem *ewolucji przeżyć*. Ewolucja, rozwój, jako wyraz powszechnej adoracji przyjętych bezkrytycznie formuł umysłowego zachowania się, cechuje naszą epokę. Pozytywizm przetrawiał te słowa, dobierał się do ich treści z mozołem, my zaś przyjęliśmy jeno *tradycyjną* magiczność wy-

razu, który stał się łańcuchem krytycznej myśli sondującej przeszłość. Epokę obecną słusznie zwaćby można „epoką manji ewolucyjnej,“ przygniatającej swobodę czynów i ruchów fatalizmem aury nastroju, do stopnia zaniku wolności twórczej. Artysta, pisarz — krytyk siłą rzeczy patrzą, jak sroka w kość na ołtarz ewolucji, obliczają swe powinności, ganiąc z piedestału opornych, którzy wybiegają po za szranki nakreślonych czynów, ludzi psujących „ewolucję“ i jej „normalny pęd.“ To też trwoga przejścia poza czas panuje, a ewolucja pozostaje słowem, którego faktów nie tyle szukać nie należy, ile nie powinno się, z jej własnego stanowiska.

Rzecz zrozumiała że taka atmosfera obfituje w dziwolągi, które nazwę ewolucją w kółko tożsamości wyrazu. Postępowiec-konserwatysta, przełomowcy-tyrani, socjalista-burżuj i t. d. w nieskończoność. Najtrudniej jednak pogodzić metodę z *ewolucją przeżyć* w pracy historycznej, zwłaszcza literacko-krytycznej.

Pisząc historję literatury krytyk musi się orjentować przedewszystkiem w sobie, w swoich możliwościach faktycznych nie przeczutych „intuicyjnie,“ inaczej wyda całość nieprzystającą w szczegółach architektonicznych myślowo, przepojoną być może dobrymi chęciami, lecz pozbawioną budowy intellektualnej i przechytrzoną w obliczeniach efektu i pozornej pracy, dziurami przeczuć świecącą nada jej złudzy szereg zastrzeżeń w formie uniesień. Ważne jest to szczególnie w odniesieniu do rzadkich wysłańców szerokiej myśli, którą powołuje do życia żądza władzy nad rozległym materjałem krytycznych doświadczeń. Z drugiej zaś strony niepodobna prawie nie domyśleć się duszy naiwnej w krytyku, który bez intellektualnych danych zbliża się do syntezy, z chytrą nadzieją oszukania siebie i innych, pokrycia niezdecydowania hasłem *wstępu* po to jedynie, by mu przeczyć ciągiem treści samego dzieła. Oto skutki dedukcyjnie przyjętej metody ewolucyjnego stwarzania historycznych ciągów. Albo się pisze wstęp przed pracą jako programowy wskaźnik, albo po pracy, a wówczas powstaje obłuda faktu, nakazująca umiejętnie nadać zakończeniu *pozory* wstępu który rehabilituje błędy i usterki dzieła. Stąd rozdzwięk wszelkich metodycznych wstępów z istotą faktycznej pracy,—obłuda krytyka „ogólnego,“ pozwalająca pokrywać bolączki konstrukcyjnej natury wyświeconym sztandarem zapowiedzi, post factum. Może się jednak zdarzyć, iż we „wstępie“ pisanym po ukończeniu dzieła autor zapomniał o treści istotnej pracy, lub też niewielką zdał sobie z niej sprawę.

Ostatni wypadek zaszedł prawdopodobnie w „Literaturze współczesnej“, Potockiego.

A. Potocki postawił sobie cel przeprowadzenia duszy dzisiejszego Polaka przez gąszcze zapomnianej poniekąd twórczości lat niedawnych, usunięcie ręką doświadczonego badacza zapór w dziewiczym lesie przeszłości i wydobycie z jej rozwartych piersi — serca indywidualności człowieczej. Ecce homo...

Słowa te kryją zagadnienie dla pisarza krytycznego, lecz o tyle, o ile zgodzić potrafi żądzę owej zachwalanej potrzeby jedności sam w sobie, a pragnienie stanie się rzeczywistem świadectwem godziny myśli, wydobędzie akord sprawności w godzeniu przeciwieństw na tkance ogólnego tła, podnoszenia różnic do jaskrawości w analizie oddzielnego osobnika. W tym wypadku jednak nie można ulegać, mimo oporu, potrzebie ewolucjonizowania, bezkierunkowego i chwiejnego zresztą.

Krytyka jednej książki może być — przyjmijmy — traktowana impresjonistycznie, może zawierać chwilowe złudzenia myśli, lecz historja literatury, pstra łuska wężowych skrętów rozstrzelonych jaźni wiązana być musi ideą nie pozoru naukowości, ani frazesu, czy też rozwojem społeczeńskim, ponieważ kultura narodu nie zaczyna się na krańcach modnych teorji, partyjnych starć i wahań, lecz w duszy jednostki, w kulturalnej świadomości stającego się człowieka, w tym wypadku historyka.

A. Potocki postanowił zerwać pęta społeczności gnębiącej, zapragnął potargać myt o postępowości literatury polskiej, w praktyce jednak minął się sam z sobą, uległ przesądowi wygodnego determinizmu, konieczności, na której podstawie tak przecudownie prosto i łatwo wynikają tłomaczenia ruchów duszy twórczej. Zasada wygody stała się dla Potockiego grotem zabójczym, śmiercią przysłowiawego węża — samobójcy, ponieważ problem rozwiniętej z niej syntezy historycznej tkwi w odszukaniu dostatecznego złudzenia przyczynowości. Słusznie, — założeniem pracy krytyczno-literackiej winien być człowiek, lecz o tyle tylko, o ile rzeczywiście rozumiemy potrzebę ujęcia *jego właśnie* indywidualnego charakteru, o ile zdołamy przeprowadzić zbadany czyn przez próbę odbudowanej osobowości twórczej. Założenie wstępne zobowiązuje, rzadko jednak na nieszczęście stwierdzone zostaje czynem, jest przezeń usprawiedliwiane.

Nieporozumieniem poprostu wydaje się obranie człowieka za założenie, a z drugiej strony odrzucanie formuły badania (nieszczere!) systematów usiłujących zawierać żywą treść w martwych formułkach klasyfikacji, samem bowiem wyrazem „człowiek“ stwarzamy tę formułę i klasyfikację; najdogodniej przeto unika się frazeologji przez wypuszczenie „człowieka wo-

góle" ze słownictwa literacko-krytycznego. Zdania oparte na tem są po-filozoficznem głupstwem. „Człowiek", jako założenie pracy nad okryciem indywidualności jest sprzecznością samą w sobie, a jako formuła ogólna, najogólniejsza, szersza od pojęcia wszechświata i bardziej do naciągania podatna nie może służyć krytycznej analizie jednostki i jej specjalnych, odrębnych wartości twórczych. P. Potocki zapowiada danie wyrazu indywidualnościom każdej doby, podnosi znak przez pół skrojonej duszy, która jest i nie jest sobą, by dać wreszcie dowód braku sił do przezwyciężenia tradycyjnych źródeł szablonowych, w rodzaju literatur Feldmana i in. Najjadowiciej przeto omija sam siebie, zwalcza wyśmiewaniem samorództwa stanowisko zapowiedziane we wstępie, by powbijać z ulgą łatwe słupy okresów, pogardzanej klasyfikacji i podziałów. Naiwność z jaką początkowo stwarza postulat uwzględniania indywidualności w krytyce rozbraja, w następstwie bawi rozpychanie jej zapomocą coraz to nowych, odnalezionych potrzeb, czem autor upodobnia się dziecku, któremu wyrzucono zabawki z ulubionego pudła, szukającemu ich naokół, w celu zapełnienia dręczącej pustki dorywczo zebranymi przedmiotami. Idea pełni zwyciężyła, lecz nie odpowiednio do przeznaczenia. Dziecko stworzyło ułudę pełni, jej formalny postulat, dowolny pozór. Podobny stan umysłu dowodzi u badacza przeczucia możliwej formy dzieła, jego metot i kierunku, nigdy natomiastześrodkowanej energji i przetrawienia materjału, niekiedy zaś wprost niemoralnych rozdzwięków myślowych w związku z koniecznością okłamywania siebie i innych. O ile bowiem idzie o społeczne wyprowadzenie wniosków osobiście przeżytych, krytyk literacki musi się zdecydować pod grozą utraty wartości, na wysnucie konsekwencji układu zamierzonej pracy, bodaj za pośrednictwem przeczuć, czy wyrozumowanych krytycznych założeń.

Odkładając dalszą i bardziej szczegółową analizę umysłu A. Potockiego do części następnej, nazwałbym jego stosunek do literatury wczorajszej sentymentem wolontarjusza, który zna konstrukcję rozmaitej broni, wybrał jednak nową, na oko bardziej użyteczną, (słusznie zresztą!) lecz strzelać z niej wbrew nadziejom nie zdoła.

Ustawiczne przypominanie o skarbach niezbadanych w naszej litaraturze XIX w. jest niemałą wojenną zasługą, lecz dlaczego mając po temu pole i możność nie wydobyć ich na światło dnia jasnego, obiecankami zasłaniać bezsiłę, unikać dotknięcia wyraźnego tej sprawy wymijającem zdaniem, w rodzaju: nie piszemy tu wyczerpującej charakterystyki," „gdybyśmy tu chcieli — musielibyśmy..." „nie mamy czasu," od których roi się „Literatura" p. Potockiego.

Niemoc autora, jego eleganckie sobkostwo wybija się na plan pierwszy, poświęcaniem rzeczy najważniejszych i potrzebnych gładkości dzieła jego lekkostrawności, która mimo że z trudem bywa rozumiana, w powodzi ogólników czyni wrażenie pisania przez mgłę myśli.

D-r Z. DASZYŃSKA-GOLIŃSKA.

Współczesna — ewolucja ludności.

I.

Powszechy spadek stopy narodów na terytorjum współczesnej cywilizacji objął już 29 krajów w Europie i poza nią. Obawa przeludnienia ogólnego została przezwyciężona, a klęski któremi miała zagrażać nie pojawiają się już jako argumenty naukowe. Naturalnie błądzą one, może i długo błądzić będą wśród ludu. Wyobraźnia pokornych, a zrezygnowanych ofiar współczesnego ustroju, lub własnej niezaradności, chętnie tłomaczy nędzę i niepowodzenia nadmiarem ludzi, których za dużo żyje na świecie.

Uczeni spostrzegają przecież, że logiczną konsekwencją obecnego stanu może być stagnacja w przyroście ludności, a nawet wyludnienie.

Pierwsze przypuszczenie postawił w 1907 r. norweski statystyk Sundbarg, [1]) mówiąc, że „prawdopodobnie żyjąca obecnie generacja, jest świadkiem maksymalnego przyrostu ludności wśród narodów Europy". Obawę spadku ludności, zaniku całych narodów spotykamy u bardzo wielu demografów francuskich; kiełkuje ona już u pisarzy niemieckich, a ostatnio z krańcową przesadą wypowiedziana została w dwóch pracach dr. Juljusza Wolffa, [2]) który zresztą i poprzednio wielekroć zwracał uwagę na spadek urodzeń. Prof. Wolff ostrzega Niemców przed niebezpieczeństwem, które, podobnie jak we Francji, wkrótce zajrzeć im może w oczy.

Obawy ogólnego wyludnienia są niewątpliwie przedwczesne. Niemniej faktem jest, że dzisiejszy przyrost ludności utrzymuje się na dawnym poziomie, a nawet jak w Niemczech np. idzie dotąd po linji wstępującej, przez —

[1]) Bevölkerungsstatistik Schwedens 1750 — 1900

[2]) Das Zweikindersystem im Anmarsch und der Feldzug dagegen. Der Geburtenrückgang, die Rotionalisierung des Sexuallebens in unserer Zeit. Obie z 1913 r.

obniżbę zgonów, bo cyfra urodzeń względnie do ludności całej, czy do liczby kobiet w wieku płodności (między 15 a 45 czy 50 rokiem) wszędzie się już obniża. Spadek zgonów pożądany i świadczący o postępach oświaty, hygieny i zamożności musi mieć jednak swój kres, nakazany przez fizyologiczne warunki organicznego życia, a nawet przez konieczność fizjologiczną, normującą stopę zgonów w każdej kategorji wieku wśród ludzi. Zmniejszająca się stopa zgonów dochodzi dziś wśród pewnych grup ludności do prawdopodobnego minimum, U ludności żydowskiej spada ona do 13, a nawet do 11 na 1000 (tej ludności). Żydzi zaś, jako najbardziej typowi przedstawiciele współczesnego kapitalizmu, stanowią dla obecnej ewolucji ludnościowego ruchu przykład najkrańcowszy. Są oni jego jaskrawym wyrazem rzeczywistym, tam gdzie u innych szczepów zauważyć się dopiero daje tendencja.

Uprzedzając dalsze wywody, kilka faktów. Żydzi są ludnością par excellence miejską. Stale dążą do miast wielkich. Z pośród zamieszkałych w Niemczech Żydów trzecia część skupia się w Berlinie (w 1910 r. Berlin liczył 144 tys. ludności żydowskiej). Dochody ich i dobrobyt rosną szybciej niż u ludności pozostałej, co odzwierciedla się w cyfrach podatku dochodowego.

Jednocześnie najwcześniej zjawia się u nich obniżka stopy urodzeń i zgonów i to nietylko w Niemczech, ale wszędzie.

W Berlinie liczba urodzeń żydowskich obniżyła się z 29 (w 1860—70 r.) do 16 (w 1901—10 r.) na tysiąc. W Warszawie od roku 1892 spadła z 45 do 25 na tysiąc. Jednocześnie liczba zgonów spada w Berlinie z 18 na $13^1/_2$ w Warszawie z 22 na 15 pro mille.

Obniżka zgonów nietylko iść nie może w nieskończoność, ale nawet przewidywać można pogorszenie stosunków. Dzieci zrodzone z rodziców starszych, mniej zdrowych i odpornych przedstawiają niższe szanse długowieczności dla siebie i swoich następców.

Postępy medycyny i hygieny utrzymują dziś przy życiu osobniki, które byłyby wymarły, pozostawione doborowi naturalnemu. Pozostaje otwartą kwestja, czy te osobniki nie wydadzą słabszego pokolenia. Demografja przewidywać tedy musi nietylko dalszą obniżkę zgonów, ale i okres ich wzrostu.

Obniżka cen na zboże i zaoceanowa dostawa, zboża oddziałała niewątpliwie na ogromne wzmożenie rozrodczości. Przeżywamy jednak epokę świadomego regulowania urodzeń. Świadoma wola ludzka coraz powszechniej wkracza w sprawy gatunku. Słynny niemiecki statystyk Rümelin, który nie dożył dzisiejszej fazy rozwoju ludności, a tylko hypotetycznie przewidywał jej możebność, wyraża się w swoich „Reden und Aufsätze,“ że gdyby, małżeństwa świadomie unikać mogły potomstwa, ludzie przestali by się rodzić. Wnioskowi temu przeciwstawić można instynkt macierzyński czy ojcowski, pragnienie odradzania się w dzieciach, dzisiejsze prawa własności i dziedziczenia i wiele innych pobudek usprawiedliwionych, zrozumiałych i naturalnych, ze stanowiska jednostki. Logicznie wyprowadzić się on przecież daje.

Przyrost ludności to nie tylko sprawa normatywnej etyki indywidualnej, ale zagadnienie społeczne pierwszorzędnej doniosłości i wagi dla narodów. Stagnacja przyrostu w jednym narodzie, jak dziś we Francji, wywołuje przedewszystkiem obawę politycznej niższości, a supremacji sąsiadów. Fakt, że na 100 francuzów przypada 168 niemców, kiedy przed laty kilkudziesięciu ludność obu państw, liczona na tych samych terytorjach była niemal jednakową, płoszy sen z powiek francuskich patrjotów i przynagla ich do oglądania się za potwornemi sojuszami. Skoro jednak nastąpi powszechna stagnacja ludności, gdy pokolenia przyszłe zastępować tylko będą żyjące i schodzące do grobu, nastąpić musi daleko idące przeobrażenie podstaw współczesnej cywilizacji. Możliwości ubywania ludności możemy nie brać pod uwagę, gdyż ta narazie nie grozi, a tak samo przewidywać możemy ewolucję etyki, zmianę poglądów na prawa i obowiązki jednostek i ideałów społeczno-narodowych.

Stagnacja ludności lub obniżenie jej przyrostu, które na podstawie ewolucji ostatnich lat dziesiątków przewidzieć można, doprowadzi przedewszystkiem do zmiany jej składu i ugrupowania. Pojawi się ona jako rezultat obniżonej stopy urodzeń i zmiejszającej się śmiertelności. Jedno i drugie przeżywamy już dzisiaj i uznać musimy za fakt istniejący, którego następstwa widzimy, porównywając ludność państw o różnym typie ludnościowego ruchu.

Kategorje najniższe wieku, a zatem dzieci i młodzież, stają się mniej liczne w stosunku do innych grup, wzrasta natomiast liczba ludzi w wieku produkcyjnym, między 15 lub 20, a 50 rokiem. Rośnie także liczba ludzi starych i starców.

To nowe ugrupowanie wzmoże *na razie* siły produkcyjne społeczeństwa i zmniejszy jego wydatki. Indywidualne dążenia jednostek, nie hamowane w takim, jak dziś, stopniu przez obowiązki rodzinne, rozwinąć mogą skrzydła i wydać owoc wzmożonej potęgi czynu w zakresie wytwórczości materjalnej i produkcji duchowej. Przedłużenie życia pozwoli większej niż dziś liczbie korzystać z rezultatów pracy, czy zabiegów. Przewidywać można zwłaszcza potężny rozwój

równouprawienia kobiet, których indywidualne postępy mniej, niż dziś, krępowane będą obowiązkami macierzyństwa.

Prawdopodobnem jest również, że stępiłoby się ostrze walk klasowych. Walki te bowiem są nietylko rezultatem wyzysku, upośledzenia, różnicy majątków, dochodów i stanowisk społecznych. Przedewszystkiem są one wynikiem niedostatku, czy obawy o niedostatek, niepewności i niestałości stosunków, pojawiajacej się na tle nowo-przybywających ludzkich egzystencji. O ile pokolenie nowe liczebnie odpowiada ustępującemu, wchodzi na jego miejsce i w jego warunki bytu. Zapasy życiowe zaczyna od pewnego osiągniętego już punktu, który daje się utrzymać, a nie od zera. Naturalnie walki społeczne trwać muszą dalej, ale zmienia się ich charakter, gdy każda ze stron walczących ma nietylko coś do zyskania, ale i coś do stracenia. Charakter ten musi być więcej ewolucyjny i pokojowy.

Nie będzie chyba zbyt śmiałą hypoteza, że umysł ludzki nie mniej ale może i więcej wysilać się będzie w zakresie techniki, któraby prace niebezpieczne i ryzykowne zastępować mogła automatyczną pracą maszyn. Ci niewolnicy z żelaza i stali wtedy dopiero naprawdę użytecznie działać poczną, gdy właściwym ich celem będzie ochrona człowieka, a nie pomnożenie dywidend i zysków. „Czyż nie odwróci się także twórczość ludzka od wynalazków, obmyślających najszybsze i najcelniejsze unicestwienie wroga, od celów wojennych, gdy najważniejszem zadaniem społecznem będzie musiała być ochrona życia, nie zaś jego niszczenie?

HELION.

Skry.

Rozkosz bywa celem rozpusty; ale nie jest celem miłości, aczkolwiek służy jej za przewodnika i — granicę.

***

Definicja:

Dramatopisarz i poeta,
Wciąż trąca struny luteń;
Nim go pochłonie Leta,
Żyje, jak — truteń.

***

Moda bywa imperatywem kategorycznym kobiet.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Przed kilku laty pojawił się mały atlas geograficzny podający w szeregu wyraziście modelujących się barw wiedzę naszą o powierzchni ziemi: mapki atlasu tego nie były wcale kopją zmniejszoną map z większych już wydanych atlasów, ale nową syntezą na podstawie materjałów z pierwszej ręki, zatem materjałów nagromadzonych przez podróżników i eksploratorów naszego globu. Dla kogo jest ten mały atlas przeznaczony — pytano na jednym z międzynarodowych kongresów nauki — czy może dla waszej młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie i Krakowie? Nie—objaśniał prof. Romer, twórca atlasu, mapki są przeznaczone dla szkoły średniej, dla klas niższych, uważamy bowiem w Polsce, że należy podawać już pierwszej młodziezy to, co jest szczytem naszych wysiłków, to co jest najlepszem w nas, najrzetelniejszem, najbardziej twórczem. Romer wnosił na kongres naukowy promienną ideę Komisji Edukacyjnej, przed którą ludzie Zachodu już niejednokrotnie pochylali czoła ze zdumieniem i szacunkiem.

Nie wiem czy Dyrekcja Teatru Rozmaitości wystawiając w Teatrze Wielkim szekspirowską sztukę „Romeo i Julja“ jednej z niedziel ubiegłych zastanawiała się kiedykolwiek głębiej *nad problemem przedstawień dla młodzieży?* Na zasadzie przedstawienia odegranego (dla młodzieży, jak afisz szumnie głosił!) a będącego *ohydną parodją Szekspira*, posądzać by można tę Dyrekcję, że nie zastanawiała się nigdy nad tym problemem i że jej ten problem jest zupełnie obojętny.

Kiedy kurtyna wzeszła i jakie takie światło zapanowało, wzrok padł najpierw na szereg poplamionych szmat wiszących nad placem małego miasteczka. Zapewne bielizna susząca się w słońcu: prześcieradła, majtki i koszule rozwieszone obyczajem włoskim między domami: sztafaż naturalistyczny dla zilustrowania pięknej Werony, którą niepokoją Montekiowie i Kapuletowie swą wzajemną nienawiścią! Nie, panie, mówi sąsiad z boku... to nie bielizna, to niebo. Jakto niebo? Spoglądam wyraźniej: szmaty seledynowe, więcej lub mniej poplamione kanarkowo, jedna świeżo wymyta i wyjęta ze świeżej farbki, to istotnie pasy przeznaczone dla wydobycia iluzji nieba. Omijając niebo, spoglądamy po chwili na domy okalające wielki plac. Te zapilśnione, obrzydliwie żółte płótna to chyba nie Werona, mówi dalszy sąsiad do bliższego sąsiada. Nie odpowiada zapytany: to z trupiarni rekwizytów teatralnych przez szczury nawpół pogryziona Częstochowa...

Analizować takie dekoracje jest zupełnie bezpłodnym wysiłkiem: historyk sztuki mógłby co najwyżej ustalać z jakiego czasu pochodzą i z jakich sztuk, przez to nas pouczyć dowodnie, dlaczego są raz marymonckie, to weimarskie nawet maurytańskie à la Wartburg koło Eisenachu. Dziewięćdziesiąt procent tego co jest w tych dekoracjach należy do tego co dziś Niemcy nazywają: „Elend der deutschen kleiner Verhältnisse“ czyli do sfery Schmalzpfeffermarktu lub Butterhansdorfu.

Na tak idjotycznie zestawionem tle podaje się Szekspira zdeformowanego: tu niedźwiedzio obkrojonego, tam w głupawy sposób rozprutego, jeszcze dalej z powrotem zszytego, ale do góry nogami, oczyszczonego dosłownie z fantazji, ze wszystkiego co błyszczy pióropuszem. Szekspir jest podany po przez Gemütlichkeit Szyllera lub Körnera jako nudne, tępe, zapiłowane bajczarstwo.

To, że jakiś Szwab utwór wielkiego natchnienia przekształcił dla swoich filistersko-pantoflowych ziomków w imię des deutschen Bewusstsein, des deutschen Humors und der deutschen Treue und Beständigkeit nie upoważnia przecież Polaków, aby takie parodje bezmyślnie akceptowali do grania przed młodzieżą swoją! Zaprawdę Szekspir doznaje dziś między Zulusami i Kaframi większego poszanowania niż w Warszawie, ludy bowiem owe sięgają do angielskiego oryginału, a nie do rozmaitych bałagujskich Bühnenausgaben, od których się mdło robi. „Romeo i Julia“ utwór najczystszej i najbardziej kryształowej romantyki jest dziś przeobrażonym w Warszawie na Vorstellung eines tüchtigen derben Sachsen... To ma być strawa dla młodzieży polskiej!

Jako refleks szekspirowskiej trągedji „Romeo i Julja“ wzeszła IV część Dziadów; zapadająca noc nad Tybaldem i Merkucjem, wschodząca jasność po przez fatalistycznie śpiewany Hymeneen Julji, zapładniały początkowe drogi twórców Kordyana i Krakusa.

Żaden naród na świecie nie pił tak pożądliwie wina podanego przez Szekspira w tej wielkiej tragedji miłości jak Polacy... I pomyśleć, że dla kwiatu tegoż narodu podaje się dziś (rok 1914) ohydne preparaty kuchni niemieckiej, zupełnie nie zastanawiając się nad trucizną zawartą w tych preparatach.

A przecież Vorstellung eines tüchtigen derben Sachsen to wyraz widomego niemieckiego pochodu na Wschód, tego pochodu którego etapy zaczynamy u siebie w domu dostrzegać i na których to etapach zaczynamy powoli nogę stawiać jak na głowie węża.

Rzecz jest w tej chwili krzycząca w Warszawie, tak samo w Krakowie jak Lwowie.

Niedawno ujawniliśmy w „Juljuszu Cezarze“ biwakowanie na niemieckich receptach, teraz świeżo przedarł się do polskiej świadomości okrzyk Mariotte'a z The Mask o monachijskości „Burzy“. [1]) Anglik wyczuł truciznę, gdzieśmy jej nie śmieli dostrzegać... otworzył oczy i uświadomił nas o postępach jadu, skoro się będzie wsączał kropla po kropli w nasze życie duchowe.

Jak niemczyzna (od strony duszy) głęboko nurtuje w Warszawie, dowodzi fakt, że w pewnych sferach teatralnych nie ma nawet wiary, aby cokolwiek mogło wzejść polskiego bez pośrednictwa niemieckich elukubracji: Krakus Norwida mający być przez Sekcję teatr. Tow. Dziennik. i Literatów wystawionym w cyrku, został ochrzczony plagiatem reinhardowskiego przedstawienia Edypa w cyrku. Te sfery może dadzą się pouczyć, że na świecie był ongiś teatr angielski zwany The Globe i że ten teatr jest podstawą reinhardowskich inscenizacji cyrkowych... z drugiej zaś strony, że inscenizatorowie Krakusa norwidowego niezależnie od reinhardowskich widowisk sięgnęli do angielskiego wzoru tegoż teatru The Globe aby posunąć się po za teatr jednoscenowy do teatru dwuscenowego (ob. Kłosy, za styczeń 1914) którego jeszcze w formie projektowanej nie było dotąd na świecie.

Rezultaty karmienia się (i przejadania się!) Niemcami wschodzą raz po raz zwłaszcza w wielkim naszym repertuarze. Musiały one być dawniej częstsze i daleko groźniejsze, przechodziły jednak wobec osłabienia twórczości narodu mniej spostrzeżenie. Teraz, gdy całe życie potęguje się z roku na rok, wpływy niemieckie stają się nie do zniesienia: w teatrach przeciw nim musi się wyprostować tama zbiorowej twórczości. Po długim śnie upadku historycznego wraca w nas poczucie siebie samych. Na szlakach zaś naszego Przeznaczenia wybijaliśmy zawsze własne twórcze życie jako przeciwstawienie się Niemcom: było tak za wielkiego organizatora Chrobrego, potem za Jagiellonów, było tak po długiem spaniu na początku nowego naszego świtu z Mickiewiczem i tak będzie musiało być z polskim Teatrem, jeśli taki ma powstać i zajaśnieć szeroko.

J. K.

---

[1]) Ernest Mariotte: The Mask, January 1914, streszczone tłomaczenie w Nr. 12 Świata.

Wrażenia.

WŁADYSŁAW KOZŁOWSKI. Pisma filozoficzne i psychologiczne.

Władysław Kozłowski (um. 1899 r.) był jednym z przedstawicieli t. zw. pozywityzmu warszawskiego. Drukował swoje prace przeważnie w *Ateneum* i w *Prawdzie*. Obecnie Polskie Towarzystwo Nakładowe zebrało jego rozproszone artykuły i studja, oraz wydało je w jednym wielkim tomie. Ważniejsze studja noszą nagłówki: Herbert Spencer, Nowokantyzm, Stanowisko filozofji doświadczalnej wobec intuicji, Geniusz i Obłąkanie, Obecny stan nauki o temperamentach, Czy pozytywizm jest kierunkiem antynarodowym i t. d.

Prace Kozłowskiego i dziś zachowały swoją wartość. Jego pozytywizm, zmodyfikowany ewolucjonizmem empirycznym, jak był, tak i jest, podstawą wszelkiej filozofji, mogącej mieć związek z nauką i życiem. To są zręby myśli współczesnej, na których można nadbudować, lecz których podważyć nie podobna, o ile nie chce się iść wstecz do średniowiecza katolickiego, lub jeszcze dalej do pierwotnego barbarzyństwa. Dziś właśnie, kiedy pod baldachimem djalektyki bergsonowskiej odbywają się zaślubiny anarchistycznego «gwałtu» sorelowskiego z odmładzającą się Opatrznością różnych świętych wiar, dziś właśnie wydobycie z zapomnienia prac Kozłowskiego jest na czasie

W swoich poglądach — Kozłowski zbliża się raczej do ewolucjonizmu Spencera i do psychologicznego empiryzmu Milla i Baina, różniąc się znacznie z Comte'm, od którego przejmuje jedynie metodę doświadczalną. Jako krytyk, Kozłowski doskonale zanalizował poglądy Spencera, którym poświęcono znaczną część książki.

Dzieło ożywiają polemiki autora skierowane z jednej strony przeciwko domorosłym klerykalno-konserwatywnym przeciwnikom pozytywizmu, z drugiej — przeciwko towiańczykom, tym niedobitkom romantyzmu, których Kozłowski spotykał podczas swojego pobytu w Paryżu.

Kozłowski brał czynny udział w powstaniu, wskutek czego resztę życia był zmuszony przepędzić poza granicami państwa rosyjskiego, w Paryżu najprzód, w końcu we Lwowie. W poglądach społecznych — szczery demokrata, pojmował doskonale wartość oświaty, kultury i techniki dla podniesienia na wyższy szczebel rozwoju szerokich mas, chociaż sam orężnie walczył o «prawa ludu».

Cześć jego pamięci, a wydawcom — uznanie za wydobycie go z zapomnienia.

JAN LEMAŃSKI.

Gnoti Seauton.

Tego pojąć nie mogę, dla której przyczyny
Wolicie do Włoch (albo do Niemiec) słać syny.
Jan Kochanowski: «Satyr» [1]).

4.

Cztery niemal wieki minęło czasu, kiedy Jan Kochanowski zastanawiał się nad tem: dla której przyczyny woli się u nas posyłać synów do Włoch (albo do Niemiec)?

Cztery nieomal wieki, zamiast Kochanowskiemu w odnalezieniu tej niewiadomej przyczyny pomódz, woleliśmy się tą nieodszukaną przyczyną kierować, woleliśmy temu jakiemuś owczemu czy innemu prądowi być posłuszni i synów do Włoch (albo do Niemiec) posyłać. I posyłamy do dziś. Kochanowski sobie pisał a myśmy posyłali. Bo któżby tam słuchał poetów swoich? Obcych to i owszem — Dantów, Petrarków, Bokacyuszów — owszem. Wprawdzie w tych obcych poetach niema wskazań jak mają żyć Polacy, bo te wskazania mogą się znaleźć tylko w poetach własnych, no ale to trudno. Pęd jakiś ciągnął nas, jak zresztą i innych barbarzyńców, do Italji — do tego buta włoskiego, który porobił na nas wszystkich odciski.

Ale inne narody szły na Rzym z ogniem i mieczem, tratując, tępiąc i niszcząc, i z kultury obcej biorąc tylko rzeczy niezwyciężone.

Poczynając od Atylli (w. V), biczu bożym na imperatorów rzymskich; od Odoakra, mordercy Romulusa-Augustulusa; od pogromcy jego — Teodoryka, króla Gotów; dalej, idąc przez czasy Longobardów z dzikim Alboinem, Franków z Pepinem i Karolingów z Karolem Wielkim; przez czasy band łupieżców saraceńskich z Hiszpanji i z Afryki; przez czasy najeźdźczych Normanów pirackich w w. XI-ym; przez czas germańskich, Hohenstaufeńskich Barbarussów [1]); po przez czasy różnych Karólów IV-tych i VIII-mych; po przez czasy Francuzów, Hiszpanów i Austrjaków i jeszcze Francuzów i jeszcze Austrjaków — *bis, ter i iter* ziemia ta rzymska, jakby w odwet za ciemięstwo dawniejsze swoje była poniewierana, deptana i rozdeptywana przez tyle ludów...

Ale te ludy wiedziały czego chcą; wiedziały po co ich na Italję obecność, jak miecz spada. Wiedziały jedno: wyszarpnąć z upadłej rzymskiej potęgi żer i uszlachetnić nim swoje barbarzyńskie jelita. I Rzym tak pożerany był od dziobów sępich, aż z niedożartego, budzącego się do obrony i życia kraju rozległ się krzyk: *Fuori dei barbari!* — precz barbarzyńcy! [2]). A potem szereg walk trudnych, a potem *i Carbonari*, a potem *Giovane Italia*, a potem *Italia riunita*...

Jeździliśmy przedtem do Włoch po naukę. Musimy i dziś tam jeździć, ale po naukę inną już, ważniejszą. Musimy tam jeździć, aby na miejscu uczyć się tej wiedzy, czy tej sztuki, która w pewnym momencie dziejowym wyraża się w formie okrzyku: *Fuori dei barbari!* — i która w pewnej chwili stwarza kwiat, zwący się *Giovane Italia*, a potem *Italia riunita*.

Tej sztuki, tego przykładu musimy się tam uczyć *brać*, bo zapomnieliśmy go u siebie *dawać* innym.

Dawaliśmy, *sclavi saltantes*, narodom innym siebie, ale nie przykład z siebie. Myśmy do Włoch nie jeździli, aby je grabić. Przeciwnie, dawaliśmy im cenne rzeczy: dawaliśmy im uznanie i cześć dla ich nauki, podziw dla ich architektury, uwielbienie dla ich rzeźby, nabożeństwo dla ich malarstwa i ich poezji, miłość dla jej muzyki, dla jej morza, dla jej słońca...

Ale byłoż to lepiej? Wynosiliśmy z kraju swoje najżywsze wzruszenia; szukaliśmy siebie po za sobą; zamiast zbiorem energji własnej wybudowywać sobie swój Tum, swoje *Duomo*, woleliśmy jeździć i gapić się na cudzy gotowy budynek...

Cztery nieomal wieki minęło do dziś, jak

---

[1]) Por. *Satyra Polska* w układzie Jana Lemańskiego T. I, str. 24.

[1]) Łaciński wyraz *barbarus* pochodzi od *barba*, broda, a zwłaszcza broda ruda = *barba-russa*.

[2]) Juljusz II, w. XVI.

Jan Kochanowski współczesnym swoim śpiewał... nie, nie śpiewał — plwał im w oczy:

> ... niech ma zapłatę godność między wami,
> Ręczę wam, zrównacie się z ich tam Sorbonami...
> Nakoniec, ważcie *doma taki koszt na dzieci*,
> Ujrzycie, *że* się *do was* wszystka Padew zleci!

Zleciała się do nas, ale nie Padew... i nie po to, aby się od nas czegoś uczyć, ale żeby uczyć nas. I uczono nas. Uczono nas przez parę wieków. Nauczyliśmy się wiele, może zbyt wiele, może więcej niż na nasze skromne potrzeby umieć wypada. «Uczyć się!»—«Nauka!» – «W imię nauki!»—«Dla nauki!»—«Po naukę!» Staliśmy się grzecznymi dziećmi, które się ciągle uczą, uczą i uczą, i jakoś nigdy nie mogą dobrnąć do matury.

System uczenia *się* jest dobry system, ale jak z naszej historji widać lepszy jest system uczenia *innych*. Lepiej jest uczyć kogoś, niż uczyć siebie, ponieważ ucząc się, cokolwiek byśmy zrobili, zawsze będziemy na końcu, bo zawsze będziemy woleli dawać siebie, niźli dawać z siebie przykład.

Czegoż komukolwiek chcieć się od nas nauczyć, jeżeli my sami nie pragniemy niczego więcej tylko powiększenia swoich kolekcjonerskich zbiorów, składających się ze strzępów kultur obcych. Przyjeżdża do nas Francuz, ciekawy literatury *naszej* a zastaje kult dla literatury swojej. Aha, powiada: literaturą polską jest literatura francuska. Co za miły kraj!..

Ale mówmy o Włochach. Przyjeżdża do nas Włoch, pragnie zapoznać się z literaturą polską, a zastaje u nas Dantego [1]), Carducci'ego, Amicisa, d'Annunzia i... *Ah! che paese*—powiada—*dilettevole!*—pijąc czekoladę u Lardelli'ego.—*Cameriere*—woła jak u siebie: — *Corriere della Sera!*

Przynoszą Włochowi ów Kurjer. Jest to Nr. 89 z d. 30 marca r. b. wyraźnie r. 1914-go. W numerze tym na stronicy 7-ej pyszni się zajmujący prawie całą kolumnę olbrzymi inserat tej treści:

La grandiosa opera di Luigi Luzzatti e Ferdinando Martini.

Ta grandiosa opera, to wielkie przedsiewzięcie—to wydawnictwo zbiorowe *(la raccolta)* p. t. «*Gli immortali*». Wszystkie arcydzieła wszystkich narodów i krajów w 400 tomach. *Tutti i capolavori d'ogni tempo e passe in 400 volumi.* Potem idą warunki prenumeraty. Doskonale!—powiadam, zaraz to sobie zaprenumeruję. Trzeba się uczyć. Ciekawym też co oni wybrali z autorów polskich. Szukam, szukam w tej zapowiedzi wydania arcydzieł *wszystkich* narodów i krajów i... nie wierzę oczom—Polski ani śladu! Polska według tego szumnego prospektu pp. Luigi Luzatti i Ferdinando Martini—to ani naród ani kraj.

I słusznie! Bo przecież my wydajemy teraz jako swoje polskie arcydzieło nie Kochanowskiego «Treny» tylko «La vita nuova» Dantego! Dlaczegóż wydawca włoski ma być lepszym od wydawcy, który się nazywa (ma tę ambicję) — wydawcą polskim!

Rozglądam się dalej w tym prospekcie, do którego by się mógł śmiało przyznać nasz najgłówniejszy wydawca, zwący się (ma tę ambicję) wydawcą polskim. Są więc tu narody takie: Grecy, Rzymianie, Włosi (w liczbie innych arcydzieł *La vita nuova* niema), Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, Niemcy, Anglicy, Belgowie i Holendrzy, Duńczycy, Norwegowie i Szwedzi, Rosyanie, Węgrzy (Jokay—toż to przecie nareszcie jakby Polak, nasz bratanek!), Amerykanie, Hindusi, Persowie, Chińczycy i Japończycy. Kropka. Pocieszmy się: niema też Czechów, Bulgarów, Słowaków, Rusinów, Turków, Rumunów, Polinezyjczyków, Negrów, Samojedów, Finnów, Lapończyków...

Boże, jakże jesteś sprawiedliwy¡ Przecież nasza polska literatura — to: Shakespeare, to Byron, to Goethe, to Heine, to Dante, to Boccacio, to Balzac, to Anatol France, to Stendhal, to Dumas, to Taine, to Zola, to Servantes, to Spinoza, to Andersen, to Bjoernson, to Dostojewski, to Puszkin, to Turgeniew, to Jokay, to Cooper, to Firdusi, to Konfucyusz, to Bóg wie kto tam, byle nie Polak.

Zaraz sobie zaprenumeruję to wspaniałe *Raccolto* i będę się uczył.

Uczmy się! Może jeszcze po upływie nowych czterech wieków, Europa, u której terminujemy, wyda nam świadectwo z ukończenia chlubnie nauk (*cum eximia laude*) i zaliczy nas do liczby narodów — za pilność!

[1]) Właśnie «*La vita nuova*» tego poety, opiewającego swoją własną, najwłaśniejszą *Beatrice* (takich Beatrycz znalazłoby się u nas setkami) coś już w czwartem czy piątem tłómaczeniu się u nas wydaje. Wydają nasi wydawcy. Nasi wydawcy! Wydawcy, ale chyba tylko dla tego tak zwani, że nas obcym narodom wydają na pohańbienie. Dość powiedzieć, że nie mamy, dzięki naszym wydawcom, pięknego chociaż niesłychanie taniego wydania Kochanowskiego «Trenów»! Bo przecież pilniejszą rzeczą jest «La vita nuova»! O, jakże jest nam naprawdę potrzebne *życie nowe!*

Książki nadesłane do Redakcji.

Tadeusz Konczyński: «Bunt» Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa Warszawa 1914. Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1914. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork. Str. 278.

E. M. Dell: «Szlakiem orła». Przekład z angielskiego H. J. P. Powieść. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa. L. Fiszer w Łodzi. Str. 438.

Piotr Jan de Béranger: «Piosenka». Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II: Str. 205+196. «Muzy» — biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza.

Mr. Robert-Huch Benson «Les Confessions d'un Converti». Traduit de l'anglais avec l'autorisation de l'auteur par Teodor de Wyzewa-Librairie Perrni, Paris.

Anatole France: «La Révolte des Anges». Roman. Paris.

Alaert Dauzat: «L'expansion italienne». Paris.

Giovanni Papini: «Sul Pragmatismo». Saggiericerchi Milano 1913.

Michał Sokolnicki: «Skrzynecki». Studjum strategiczne. Tom II wydawnictwa historyczno-wojskowego, podjętego przez Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Pod redakcją d-ra Marjana Kukiela we Lwowie. Ilustracje Zygmunta Pozwadowskiego Str. 126. Cena kop. 60.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913 W opracowaniu Biura Pracy Społecznej pod kierunkiem Władyława Grabskiego. Warszawa, Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 1914.

G. K. Chesterton: «Delegat Anarchistów». Powieść. Str. 280. Warszawa 1914 F. Hoesik.

Herman Bang: Powieść. Tłomaczyła Br. Neufeldówna. Str. 375. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. w Warszawie, Ludwik Fiszer w Łodzi.

Jadwiga Lipińska: «Kwiaty Maku». Wydawnictwo Ultima Thule. Skład główny: Księg. I. Rzepeckiego w Warszawie.

Bernard Kallerman: «Głupiec». Powieśc. Przekład z upoważnienia autora Melanji Łaganowskiej. Str. 466. Warszawa 1914. F. Hoesick.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

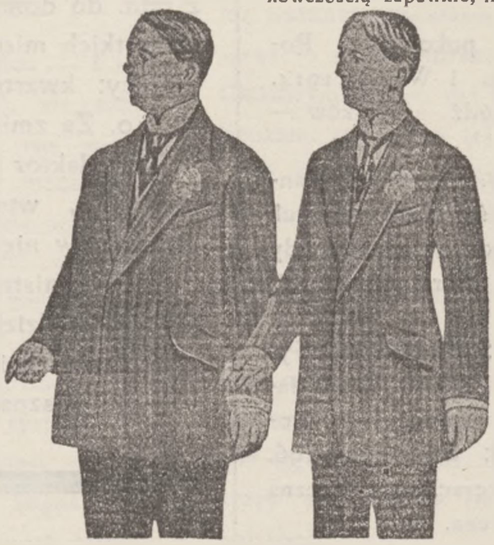
Z drugiej zaś strony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków, powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA“ (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę“ Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal“.

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.